

Wśród jasnowidzących sekciarzy w Jemeppes sur Meuse

„Naokoło Świata”,
nr 112 z 1933 roku

– Tramwaj do Jemeppes? Nie, tam pan nie dojedzie, tylko do Seraing, skąd pieszo półtora kilometra. Można i pociągiem, ale nie warto. Niech pan wsiada do czwórki, konduktor wskaże.

Policjant leodyjski, od którego otrzymałem te wyjaśnienia, niczym już nie przypominał swych przedwojennych kolegów. Zamiast kepi miał hełm szturmowy pomalowany na biało. Metal zabezpiecza przed uderzeniem kamienia, bo czasy niespokojne, a biała barwa sprawia, że automobiliści rzadziej najeżdżają na policjantów, gdyż widać ich z oddali.

Tramwaje też się zmieniły. Nie ma już schodków, a drzwi nikt nie otworzy przed zatrzymaniem się wagonu. Gdy tramwaj staje, schodki wysuwają się automatycznie, by cofnąć się niezwłocznie. Skończyły się więc dobre czasy dla urwisów ze szkółek, ale i wypadki są rzadsze.

Jadę więc do Jemeppes sur Meuse, siedliska dziwnej sekty antonistów, której nazwa pochodzi od imienia założyciela, ojca Antoniego. Jakie miał nazwisko, nikt nie wie. Aby sprawdzić, należałoby pogrzebać w księgach stanu cywilnego, ale na to potrzeba więcej czasu. Zresztą, czy nie wszystko jedno? Wiemy z całą pewnością, że ojciec Antoni był za młodu górnikiem, pisać nie umiał. Urodził się jako jedenasty syn górnika. Od najwcześniejszych lat pracował w podziemiach po czternaście godzin na dobę.

Wiemy dalej, że ożeniwszy się z obecną „mère Antoine”, wyemigrował do Warszawy i spędził w naszym mieście kilka lat, które przyniosły mu chwilowy dobrobyt.

Jemeppes

W Seraing opuszczam tramwaj i maszeruję wzdłuż Mozy. Nędza, kryzys, bezrobocie. Wielkie zakłady metalurgiczne są nieczynne. Dymią jeno kominy prywatnych fabryk amunicyjnych. Podobno otrzymały zamówienia dla Ameryki Południowej. Mijam jatki z końskim mięsem, czego przed wojną tu nie było. Na górach odpadów kopalnianych widać zgarbione postacie kobiet. Pogrzebaczami wyszukają kawałki węgla wśród kamieni. Nie brak też i dziatwy. Gdybym podszedł i zawołał po polsku, odpowiedziano by mi niewątpliwie. Albowiem wielu tu jest Polaków z rodzinami.

Zapytuję przechodnia o drogę.

– Na prawo, przez most, potem na lewo.

Nieznajomy zupełnie nie jest zaskoczony pytaniem. Antoniści w Jemeppes to rzecz zwykła. Nikt ich tu nie prześladowa, nikomu nie dają się we znaki, nie mieli nigdy procesów sądowych i nie zakładają orkiestr z mandolinami. Cicha, spokojna sekta, dla jednych dziwaczna, dla drugich zagadkowa.

Zbliżam się do siedziby. Nie widać krzyża, choć główny budynek przypomina kościół. Nie jest brzydki, nie jest też i ładny. Zwykły kościółek z cegły czerwonej, poczerniałej od dymów.

Nad wejściem czytam: „Culte Antoniste”.

Matka nie przyjmuje...

W przedsionku wychodzi na moje spotkanie starsza dama o wyglądzie inteligentnym. Jest cała w czerni, od stóp do głów. Dowiedziałem się później, że to pani Dessart, żona dyrektora kopalni węgla. Porzuciła życie świeckie, by przyłączyć się do sekciarzy.

– Pan po błogosławieństwo? Niestety mère Antoine chwilowo nie przyjmuje nikogo.

– Czy aby nie chora?

– Nie, my nigdy nie chorujemy. Matka rozmawia teraz z umarłymi.

– To może pozwoli mi pani zwiedzić świątynię?

– Bardzo proszę. W świątyni naszej niewiele jest do zobaczenia.

Wchodzimy. Duża, wysoka, jasna sala z oknami gotyckimi, zastawiona ławkami. Tam, gdzie powinien być ołtarz, wisi dziwaczne malowidło wyobrażające jakieś drzewo, niby dąb o soczystych korzeniach. Poniżej, na jasnej tarczy, dość niekształtnej, widnieje napis: „L’Arbre de la Science de la Vue du Mal”, co można by przetłumaczyć na „Drzewo wiadomości dobrego i złego”, ale przekład nie będzie ścisły.

Opowiadano mi, że antoniści modlą się do jakiegoś drzewa, w co nie chciałem wierzyć. Proszę więc mą przewodniczkę o wyjaśnienia, lecz tak są zagmatwane, że niewiele rozumiem.

Po stronie prawej wisi portret sędziwego mężczyzny z białą brodą. Uniósł rękę jak do błogosławieństwa. Spojrzenie ma ostre, przenikliwe.

– Czy to ojciec Antoni? – pytam.

I nagle pada nieoczekiwana odpowiedź szeptem:

– Tak, nazywano go ojcem Antonim, ale to było wcielenie bóstwa, żywe bóstwo, nieśmiertelne...

– Jednak umarł przed kilku laty.

– Pozbył się powłoki cielesnej, ale żyje wśród nas, rozmawia z nami i dyktuje naukę.

Słucham tych zwierzeń i mimo woli przelatują mi przez myśl opowieści o tajemniczym Tybecie, żywych wcieleniach Buddy, o zjawach podczas seansów z mediami.

– Żyje wśród nas, uzdrawia chorych, pociesza strapionych... – opowiada dalej przewodniczka, wpatrzona w portret.

Zabrział dzwon

Gdyśmy tak stali przed podobizną starca, gdzieś w oddali zadźwięczał dzwon. Madame Dessart drgnęła.

– Chodźmy – rzekła – mère Antoine nas wzywa. Widocznie przeczuła pańską obecność i, być może, dostąpi pan zaszczytu.

Mijamy wąskie drzwi i wchodzimy do niewielkiego, lecz bardzo wysokiego pokoju. Pod sufitem znajduje się coś w rodzaju galeryjki, szczelnie zasłoniętej ciężką tkaniną. Tam modli się mère Antoine, rozmawia ze zmarłym mężem i innymi duchami. Na podłodze leży niewielki dywanik wojłokowy.

– Czy mam klęknąć?

Madame Dessart jest wyraźnie wzruszona.

– Nie, klękać nie trzeba. Niech pan stanie tu i podniesie oczy. O, to wielka łaska pana spotkała, wielka łaska! Matka wzywa... Teraz pan będzie szczęśliwy...

Stałem na dywaniku i spojrzałem ku górze. Przez kilka minut nie zaszła żadna zmiana.

– Proszę czekać. Ja będę się modliła – mówi przewodniczka.

Czekam więc. Coś zaszeleściło za firankami. Domyślam się, że ktoś z wysiłkiem podnosi się z klęczek. Rozchylają się tkaniny i widzę twarz staruszki. Zaczyna do mnie mówić. Nie wszystko rozumiem, gdyż miesza wyrazy francuskie z walońskimi, a miejscowa gwara, którą dość dobrze znałem przed wojną, wyszła mi już z pamięci.

– Przyjechałeś z daleka, z bardzo daleka, ze wschodu. Znam twój kraj... Jeżeli pragniesz błogosławieństwa, to ci je daję. Schyl głowę i pomyśl o ojcu Antonim... Jeżeli szukasz pociechy, to wyjdiesz stąd pokrzepiony...

Staruszka zapewnia mnie, że będzie się modliła na mą intencję, i znika. Spoglądam na madame Dessart. Jest bardzo blada, drży. Od dawna nikt nie miał zaszczytu stanąć przed mère Antoine w takich okolicznościach, by przeczuła obecność obcego. Ale mère Antoine podobno widzi i słyszy to, czego inni nie widzą i nie słyszą. Wie, co się dzieje w duszy ludzkiej.

Figle bibliofilów

Wracamy do kancelarii. Wzruszona pani Dessart wręcza mi dwie książki, starannie oprawione w płótno. Tytuł pierwszej brzmi: „Révélation par le Père Antoine”, a drugiej: „L’enseignement du Père révéle à cette époque par la foi”.

– Tylko proszę szanować te książki, żeby nie wpadły w niewłaściwe ręce – słyszę zastrzeżenie. – Niektórzy bibliofile handlują naszymi książkami, choć rozdajemy je bezpłatnie osobom życzliwym. Ostatnio były nawet sprzedawane na przetargach, a i w antykwarniach ich nie brak.

– W jaki sposób dostały się do handlu?

– Wiele jest osób, które pod pozorem pobożności odwiedzają nasze świątynie i zabierają książki.

– Więc jest więcej świątyń?

Pani Dessart wręcza mi broszurkę pod tytułem „Nous sommes arrivés à nous améliorer”. Znajduję na ostatnich kartkach spis świątyń antonistów. Dwadzieścia sześć w Belgii i piętnaście we Francji, w tej liczbie dwie w Paryżu i jedna w Monaco.

– Nie rozumiem, dlaczego bibliofile tak polują na nasze książki – zwierza się pani Dessart. – Jest nam przykro na samą myśl, że nauka ojca Antoniego poniewiera się między innymi książkami o treści niezasługującej na szacunek.

– Niechże pani będzie spokojna, książek nie dam nikomu.

Z dalszej rozmowy mogę się domyślić, że niepiśmienny ojciec Antoni był „mówiącym medium”. Wpadał w trans i dyktował naukę. Jest to dość mętna „nauka”, trudna w czytaniu i wręcz niemożliwa do opanowania. Niektóre ustępy są wierszowane, a proza przypomina pretensjonalne kazania. Ojciec Antoni, jak o tym mogą zaświadczyć osoby godne wiary, był poza tym medium materializacyjnym, obcował ze zjawami i wierzył w ich zaziemskie pochodzenie. Właściwośći te odziedziczyła po nim wdowa. Potomstwa nie mają. Gdy umrze mère Anto-

ine, najwyższym kapłanem sekty ma zostać jakiś baron, którego nazwiska nie pamiętam.

Antoniści, jak już wspomniałem, nigdy nie byli prześladowani. W kraju cieszą się dobrą sławą, a pieniądze, jeżeli są jakie wpływy, rozdają biednym. Podczas okupacji niemieckiej dokarmiali dzieci.

Podobno niektórzy kierownicy świątyń tej sekty też są mediami, wpadają w trans i, rzekomo natchnieni przez zgasłego ojca Antoniego, przemawiają w jego imieniu.

Żegnając panią Dessart, zagadnąłem:

- Czy pani wie, że to, co tu widziałem, kiedyś opiszę. Jestem dziennikarzem.
- Przypuszczam – odpowiedziała – że pan nie będzie nas źle wspominał.

Wł. Zambrzycki